

Kurier Szczeciński
70-550 SZCZECIN
ul. Hołdu Pruskiego 8

N 189 28-09-93
Z dn.

171

Szczecińskie premiery

TEN

spektakl rozpoczyna scena dużej urody: przeszyty tak czystą, że sprawia wrażenie wymytej, rozjaśniona coraz intensywniejsze światło. Pograżeni we śnie ludzie, niedawni biesiadnicy, budzą się powoli. By radośną inwokacją powitać słońce; życie... Scenografię Banuchy, tradycyjnie ascetyczną, charakteryzuje i tym razem bogactwo znaczeń, którym oszczędna forma wyjątkowo dobrze służy. Jasne, naturalne drewno stołów i wyłożonej deskami sceny, biały horyzont z regularnym kręgiem słońca, czarne stroje, w których ubrani są Tebańczycy. To wszystko realizm na usługach symbolu. Bo taka przestrzeń to przecież odbicie greckiego pejzażu, z jego białymi skałami w słonecznym blasku, z sylwetkami ludzi w typowych dla tego regionu ubiorach. Ale równocześnie: umowny skrót, uniwersalna scena tragedii wyznaczona z ozdobników.

Zaczynam od pochwał dla oprawy spektaklu nie tylko dlatego, że pochwał godna, ale i dlatego, że jawi mi się jako niespełniona obietnica. Że zawarte w niej możliwości – mimo widocznego współgrania z całą koncepcją inscenizacji – nie w pełni zostały wykorzystane. Wilkoński wymyślił sobie bowiem przedstawienie sugestywne, oryginalne, ale jakby nie potrafił tchnąć w nie ducha. Czyste i wyraziste jako koncepcja nie znalazło dla siebie takich środków wyrazu, które wyzwoliłyby żywsze emocje, pozwoliły – mówiąc nieco naiwnie – na przejęcie się tym ponadczasowym wsak dramatem.

Tebańczycy

Wracając bowiem do prologu szczecińskiej „Antygony”: wskazuje on na rolę jaką ma w spektaklu Chór. Czyli bohater zbiorowy. Oczywiście, Wilkoński nie jest pierwszym twórcą taką rolę Tebańczykom wyznaczającym. Jednakże wartością jego przedstawienia mogło być uczynienie z tej gromady bohatera – nie wiem, czy to najodpowiedniejsze słowo – powszedniego. Nie: szczególnie mądrego rozjemcy, nie: obojętnego widza, ale właśnie kogoś „zwyčajnego”. I tacy chyba mieli być w Polskim ci Tebańczycy: miłujący przede wszystkim pokój, życie, słońce; paroksyzmem wybuchających ambicji i histeriom idei przeciwstawiający – codzienność ze wszystkimi jej urokami, ugodową, aż po konformizm, postawę: żyj i daj żyć innym. Niestety, w miarę rozwijania się dramatu Wilkoński nie znajduje jakby sposobu by konsekwentniej, mocniej opowiedzieć się po ich stronie. Więc odchodzą w tło; komentując wprowadzanie wydarzenia, przyglądając się im, ale tylko w czysto teatralnym planie – nie mając już w nich praktycznego udziału.

Szkoda. Bo bez ich ostrzej podkreślonej roli, konflikt, jaki rodzi się między Antygoną a Kreonem traci sporo ze swych znaczeń. Miało być bowiem tak, że sztuka ta – wyprana wreszcie ze swych politycznych, doświadczeń sensów (w dobie PRL-u dramat Sofoklesa inscenizowano zazwyczaj jako konflikt między brzydką władzą – w domyśle: komunistyczną – a dobrym, przez Antygonę reprezentowanym, społeczeństwem) stanie się przypowieścią o tragicznych skutkach wszelkiego zadufania. Pychy, która odbiera rozum zarówno „dobrym” jak i „złym”. Zaciętrzewienia, które nie pozwala się ludziom porozumieć. Ale ujawniający owe prawdy Chór, jak już napisałem, powoli niknie w tło, zaś główni bohaterzy nie potrafią się jakoś ze sobą „spotkać”.

Oczywiście, rację ma cytowany w programie do spektaklu Jan Kott podkreślający, iż między Antygoną a Kreonem brak rzeczywistego pojedynku na rację, że ich rozmowy są „dialogiem głuchych”, bo tak ich zaślepiła nieomyślność reprezentowanych praw. Tyle, że na scenie trzeba jednak znaleźć jakąś płaszczyznę dla kontaktów między postaciami. A na deskach Teatru Polskiego główne postaci istnieją jakby w próżni. Interesująca kreacja Arnolda Pujszy – którego Kreon nie jest demonicznym satrapą, lecz człowiekiem uwikłanym w rolę władcy, strzegącego fałszywie rozumianego autorytetu – nie znajduje dla siebie współbrzmienia w dramacie

Antygony. Nie tylko dlatego, że Antygona Danuty Kamińskiej to postać zbyt koturnowa, zimna. Niewiele lepiej dzieje się bowiem, gdy postać ową gra (aktorki dublują tę rolę) Lidia Filippek. Jej Antygona jest wprawdzie bardziej naturalna, naznaczona rzeczywistym bólem, lecz i w tym przypadku widzimy raczej mijanie się prezentowanych przez nią racji z racjami Kreona niż spór, walkę. Że tak miało być, bo to „dialog głuchych”? Zgoda, ale owi głusi – nie znajdując między sobą kontaktu w sferze słów, w kwestii stosunku do świata – stają przeciw naprzeciw siebie. I coś z tego powinno wynikać. Jakieś spięcie, iskry jakiegoś. Niestety, „Antygona” w Polskim najstabilniej właśnie przedstawia to, co między ludźmi. Zwłaszcza tymi, którzy są podłożem dramatu. Znamienne, że tak nieudana, na pograniczu – powiedzmy wprost – śmieszności, jest scena między Kreonem a jego synem, Hajmonem (R. Dudzik). Autentyczne emocje zastępuje tu łzawa awantura. Natomiast mniej istotna dla dramatu rozmowa Kreona z Wartownikiem (J. Grondowicz) przykuwa uwagę. Dlaczego? Bo właśnie w niej dzieje się coś naprawdę, jest napięcie, bolesna obecność.

Podsumowując: przedstawiono nam premierę godną uwagi, o niewątpliwej, teatralnej urodzie i niebłahym przesłaniu (jakże ważnym dziś, gdy zaślepienie w obronie naszych „niepodważalnych zasad” czyni tyle złego). Mam też sporo szacunku dla solidnej, zdyscyplinowanej realizacji spektaklu. Nie udało się jednak ożywić interesującego pomysłu na rzecz o Tebańczykach, którzy – bezskutecznie – bronią racji życia. I jeśli nawet ta „Antygona” miała być (?) chłodna, to szkoda słońca, od którego się zaczyna.

Artur D. LISKOWACKI

Teatr Polski: „Antygona” Sofoklesa.
Przekład: J. Libera i J. Szpotaniński.
Reż.: Z. Wilkoński, scen.: J. Banucha,
muzyka: Janusz Stalmierski, ruch
scen.: Tomasz Gołębiowski, premiera:
11 września.



KREON (Arnold Pujsza) dzwigający Hajmona (Robert Dudzik).

Fot.: Tadeusz CZARNY